

W zonie ATO

PIOTR SKWIECIŃSKI

– Ech, takie wspólne państwo mieliśmy! Rzeczpospolitą! I wszystko żeśmy sami zaprzepaścili... To znaczy, bardziej wy niż my, wasza szlachta – młody oficer 92. brygady strzelców odwraca się do mnie zza kierownicy. – I potem żeśmy znowu wszystko przewalili. U was i na zachodniej Ukrainie była AK, u nas – UPA. Walczyli z sobą, a gdyby tak razem przeciw Moskałom... Zupełnie inaczej byłoby.

Jesteśmy w miasteczku Szczastie, kilkanaście kilometrów od zajętego przez separatystów Ługańska. Szczastie znaczy szczęście. – To brzmi jak zły dowcip – powiedział poprzedniego wieczoru prowadzący auto Ukrainiec, pseudonim „Huzar”, gdy wjeżdżaliśmy do tego, co pozostało z miasteczka.

Była pełnia, nad drogą wisiał księżyc tak czerwony, że narzucający – wiem, że grafomańskie, ale co robić? – skojarzenie z krwią. Jechaliśmy w kuloodpornych kamizelkach i hełmach, przejeżdżaliśmy bowiem przez obszar penetrowany przez rosyjskie DRG, czyli grupy dywersyjno-rozpoznawcze. To była już trzecia doba naszej podróży po Zonie ATO, czyli strefie operacji antyterrorystycznej, jak Ukraińcy nazywają obszar działań wojennych.

Zatrzymać to monstrum

Pojechałem do Zony wraz z ukraińskimi „wolunterami”, czyli ochotnikami niosącymi walczącym pomoc. Ta pomoc to bielizna, ciepłe koce, medykamenty, materace, rękawice i czapki. Ale też tkane przez kijowskie dziewczyny siatki maskujące, drut kolczasty, metalowe strzałki służące do wetknięcia w ziemię i rozciągnięcia na nich tzw. zatażek, czyli sznureczków, o które wróg może się potknąć, wywołując eksplozję miny. Pomoc jest potrzebna. Chłopakom na froncie rzeczywiście brakuje wszystkiego.

Wolunterzy to bardzo dzielni ludzie. Rok temu w większości byli aktywnymi uczestnikami Samoobrony Majdanu. Ścierali się z Berkutem. Potem przez parę miesięcy, gdy ukraińska milicja była zastraszona i bała się robić cokolwiek, uzbrojeni pomagali utrzymywać porządek w Kijowie. Walczyli z kryminalistami. I nie tylko z nimi.

– Łapaliśmy też rosyjskich szpiegów -opowiada „Huzar”. – Raz nawet autentycznego pułkownika FSB. Przekazywaliśmy ich Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy. A SBU po paru dniach ich puszczała na wolność...

Teraz wolunterzy nie wchodzi w skład walczących oddziałów. Ale są uzbrojeni i w większości umundurowani. Zaatakowani – strzelają. Prowadzą normalne życie zawodowe i rodzinne. Jeżdżą na front przeciętnie raz na dwa tygodnie, na parę dni.

– Żona się ze mną rozwodzi, córka płacze – mówi wolunter „Wist” kierujący dżipem ciągnącym monstrualnie wyładowaną przyczepę. – A ja i tak ciągle jeżdżę do Zony. Ech, człowiek by chciał tak normalnie. Z pracy do domu wracać, żonę przytulić, wypić koniak, z dzieckiem pogadać. A tu trzeba się narażać, bo to monstrum (Putin) na nas napadło.

Jeńcy są walutą

Zona. Nieprzypadkowo i wolunterzy, i żołnierze chętnie nazywają w ten sposób obszar ATO. Nawiązują do fantastycznonaukowej powieści Strugackich. Zona, czyli Strefa, była tam odgrodzonym od świata terenem, na którym niegdyś wylądowali kosmici. Wyludnionym,

pełnym ruin i dziwacznych, niebezpiecznych, przywiezionych lub odmienionych przez kosmitów przedmiotów.

Po minięciu granicznego blokpostu (czyli umocnionego punktu kontrolującego przejazd) wolunterzy zmieniają się nie do poznania. Pojawiają się hełmy i kamizelki kuloodporne. I jeszcze więcej broni. Udzielają podstawowego instruktarzu. W trakcie postoju poza miejscowościami z asfaltu schodzić nie wolno, bo miny. Jeśli zajdzie zupełna już konieczność, trzeba iść po świeżych śladach „ciężkiej techniki”, czyli czołgu lub działa samobieżnego. Nie wolno podnosić z ziemi niczego, nawet pustej butelki, bo wszystko może być zaminowane. Nie wolno fotografować blokpostów, takie zdjęcie jest bezcenne dla przygotowujących atak; dlatego żołnierze reagują na to nerwowo, można stracić aparat. Ludzi i technikę fotografować tylko po uzyskaniu zgody.

Już za Połtawą na drodze zaczęły być widoczne wojskowe transporty. Ale po przekroczeniu granicy Zony wojenna technika zaczęła dominować w krajobrazie dróg. Na cywilu, który na wojnie nigdy nie był, robi to początkowo silne wrażenie. Które szybko znika, bo człowiek szybko przywyknie do wszystkiego.

Z moich obserwacji wynika, że Ukraińcy zgodnie z porozumieniem mińskim istotnie wycofali ciężki sprzęt z pasa przyfrontowego. W każdym razie jedyne czołgi i haubice, które ja widziałem, jechały w głąb terytorium ukraińskiego lub po odległych od pierwszej linii o ponad 30 km liniach rokadowych (czyli mniej więcej równoległych do tej linii). Po rosyjskiej stronie nie byłem, nie mogłem więc niczego naocznie stwierdzić, ale ukraińscy oficerowie deklarują, że wiedzą, iż napastnik nie wycofał swojego sprzętu. Że wręcz dniem i nocą podcina nowe siły, w tym właśnie sprzęt ciężki, szykując się ewidentnie do ataku.

Skąd to wiedzą? Obie strony nie wstrzymały działań grup rozpoznawczo-dywersyjnych penetrujących teren za liniami wroga. Również Ukraińcy nieoficjalnie przyznają, że „i nasi chłopcy też chodzą na tamtą stronę”. Ze strony ukraińskiej celem tej działalności jest (oprócz oczywistego sensu wojskowego) również zdobycie jeńców, których można potem wymienić na trzymany przez separatystów kolegów. Jak to ujął pewien Ukrainiec, „w tej wojnie jeńcy są walutą”.

Przy czym dosłownie wszyscy ukraińscy oficerowie i żołnierze, z którymi rozmawiałem, są przekonani, że nowa ofensywa rosyjska zacznie się lada moment. Moi rozmówcy różnili się między sobą tylko co do tego, czy mają do dyspozycji jeszcze tylko kilka dni, czy kilka tygodni. Na dłuższe trwanie rozejmu nie liczy nikt z nich.

To separskie terytorium

Artiomowsk. Ładnie rozłożone na wzgórzach, przed wojną ponad 80-tysięczne miasteczko. Leży na drodze do słynnego Debalcewego, od którego oddziela je ok. 30 km. Od obecnej linii frontu – kilkanaście.

Wyładunek pomocy trwa dłużej, niż było to przewidziane. Jechać po nocy jest niebezpiecznie (dywersanci), musimy więc zanocować. Zajeżdżamy zatem do prywatnego domu. Właściciele trzydziestoparoletni, uroczą dziewięciolatka Ela. Kot i pies, ten drugi to pozostałość po uciekinierach z Debalcewego, których gospodarze przytulili na chwilę parę tygodni temu. Pan domu prowadzi firmę budowlaną. Ludzie europejskiego typu.

– Jak się tu żyje? – pytam gospodynię, która robi nam kolację. Jest nas około dziesiątki, na kuchni kipi więc cały garnek makaronu.

– No a jak? Strasznie. Strach. Ale dokąd wyjedziemy, przecież wszystko, co mamy, jest właśnie tutaj. Nawet uchodźcy z Debalcewego, którym tam rozwalono wszystko, już w większości wrócili do siebie.

Do siebie, czyli na rosyjską stronę. Pytam o poglądy polityczne mieszkańców miasta.

– Chyba z 70 proc. jest za DNR (czyli za separatystami) – mówi wprost gospodyni. Ona i jej mąż reprezentują proukraińską mniejszość. A na wsiach? Mniej więcej tak samo. Tylko tam, gdzie mieszkają przesiedleni za Stalina z Karpat Łemkowie, większość jest za Ukrainą. W Starobielsku tamtejsza zwolenniczka Ukrainy określi odsetek stronników separatystów na ponad 50 proc.

– To jest tak, że za Ukrainą są ci, którym coś się chce, coś robią, pracują, czegokolwiek się dorabiają – mówi pani domu. – A za DNR są ci, którym się nic nie chce, którzy przywykli do życia z budżetu i mają nadzieję, że wraz z DNR wróci Sowietskij Sojuz.

Przed przyjazdem do Artiomowska stawaliśmy w paru miejscach. Miejscowa ludność nie robiła wrażenia, jakby czuła się okupowana. Ale potem od samych wolunterów, także od żołnierzy, nasłuchiwałem się różnych historii.

– Parę miesięcy temu, wioząc pomoc na ukraiński posterunek, musieliśmy przejechać przez osiedle z reguły kontrolowane przez „separów” – opowiada ruda Wika z Połtawy. – Słyszałam, jak chłopczyk, na oko pięcioletni, pokazał na mnie i powiedział kolegom: „Mój tata rozwali tę sukę!”. Dałam mu cukierków, żeby zmienić nastawienie...

– Gdy weszliśmy do osiedla, podbiegł do nas chłopiec, dziesięcioletni – mówi oficer z 92. brygady. – Powiedział po ukraińsku, że wprawdzie mówi w tym języku, ale „ja Russkij!”. „A my mamy dla ciebie parówki” – odpowiedziałem i mu je dałem. „To co? Sława Ukrainie?”. „Sława Ukrainie!” – odpowiedział, uciekając z parówkami.

Ola, inna wolunterka, pojechała z pomocą do domu starców. Kiedy staruszkowie zobaczyli ją z naszywkami batalionu „Ajdar”, rzucili się do ucieczki, zaczęli się chować. Ola powiedziała: „Przywiozłam wam tylko żywność i lekarstwa, zostawiam i już odjeżdżam”. Następnym razem już nie uciekali, a za trzecim razem, gdy tylko zobaczyli samochód „Ajdaru”, klaskali.

– Jak można chcieć mieszkać w tej całej DNR rządzonej przez bandziorów i kryminalistów? – nie może zrozumieć nasza gospodyni z Artiomowska.

Ranek. Chcę przed odjazdem zanieść plecak do stojącego na podjeździe samochodu, żeby, kiedy padnie hasło do wyjścia, nie dźwigać jednocześnie jego i kamizelki kuloodpornej. Ale dowodzący grupą nie wypuszcza z domu ani mnie, ani nikogo.

– Wyjdziemy jak najszybciej, wszyscy razem – mówi. – Żeby się sąsiadom nie rzucać w oczy. Oni... nie wszyscy dobrzy.

Jedziemy. Za miastem na chwilę się zatrzymujemy. Ktoś z innego samochodu z naszej kolumny wyrzuca na pobocze plastikową torebkę. Nie podoba się to „Wistowi”.

– Ładnie to tak śmieci wyrzucać na drodze?! – mówi z naganą w głosie do krótkofalówki.

– Wszystko w porządku. To przecież separskie terytorium – odpowiada krótkofalówka.

Jedziemy w stronę Ługańszczyzny. A ja nie mogę się pozbyć sprzed oczu obrazu dziewięcioletniej Eli z zębami jak u bobra. I czuję paraliżujący strach. Co się z nią może stać, jeśli do Artiomowska przyjdą „separ”, np. ci Kozacy, którzy w Debalcewem rozstrzelali 80-letnią staruszkę za to, że gotowała obiady ukraińskim żołnierzom.

Szczastie, czyli szczęście

Rozwalona rosyjskimi gradami szkoła w Lisyczańsku. Kolejne zniszczenia. Półpuste osiedla, których ludność jest już dawno albo głęboko na Ukrainie, albo po stronie rosyjskiej. Zbłąkane psy. To wszystko niby znane z lektur, ale zobaczone na własne oczy – wstrząsa. To kolejna banalna refleksja, lecz trudno od niej uciec.

Jedziemy dalej, stajemy w miejscach postoju różnych jednostek. Bataliony ochotnicze, wojska MSW, regularna armia. Dowodzący grupą dyktują środki bezpieczeństwa. Czasem można jechać bez kamizelki i kasku, częściej tylko w kamizelce, bywa, że i w hełmie. Tutaj zdarza się, że nawet dowodzący batalionem pułkownik nie rozstaje się z automatem. Więc ta ostrożność to nie przesada.

Ściemnia się. Jest straszliwie zimno.

— Ale za chwilę się zrobi ciepło, wszystko pozielenieje – mówi z zadumą żołnierz 12. batalionu MSW. – Dla was, w Kijowie, to dobrze, a dla nas – źle. Widoczność się pogorszy, nie będzie wiadomo, co jest sto metrów dalej...

Wreszcie Szczęście. To już w zasadzie pierwsza linia. Z jednej strony miasteczka front biegnie tu wzdłuż rzeczki, po stronie ukraińskiej brzeg jest płaski, a po separskiej są wzgórza. Wybitnie wzmacnia to pozycję sił prorosyjskich. Z drugiej strony Ukraińcy trzymają pazur terenu skierowany w kierunku Ługańska.

Jest już czarno. Stajemy na ciemnej ulicy, dowódca idzie na wartownię. I wtedy po raz pierwszy w życiu słyszę strzały. Niosą się w ciszy wymarłego miasteczka. Broń maszynowa, czasem serie granatów. To nie trwa cały czas. Raz na kilka minut coś gdzieś się dzieje. Trochę w prawo, trochę w lewo.

Świeci wściekle czerwony księżyc.

Wjeżdżamy na teren dawnych koszar milicji. Po wewnętrznej stronie bramy stoją cały czas dwa BTR-y. Gotowe do błyskawicznego wyruszenia na pomoc, gdyby Rosjanie zdecydowali się jednak na jakieś większe uderzenie. W oknach, przed drzwiami budynków – barykady z worków z piaskiem.

Trzeci raz banalna refleksja: jakie to wszystko jest do bólu realne. Nie na niby.

Kładziemy się spać w łóżkach opróżnionych przez żołnierzy pełniących nocną służbę na froncie. Jak rano wrócą, trzeba będzie im te łóżka oddać.

Gruzin ze starym kałaszem

Rano poznaję wielu żołnierzy. Teraz w bazie stoi m.in. kontrowersyjny „Ajdar”. Kontrowersyjny, bo oskarżany nie tylko o prawdziwe czy rzekome zbrodnie wojenne i nie tylko o prawdziwe czy rzekome wpływy nazistowskie. Również dlatego, że zdarzyło mi się wysłuchać paru relacjonowanych sobie nawzajem przez żołnierzy historii dotyczących rabunków dokonywanych przez wojskowych na innych wojskowych czy o sytuacjach, w których pijaństwo niemal doprowadziło do otwarcia ognia do swoich. Podkreślam – te opowieści mnie nie dziwią, bo przecież armia ukraińska powstaje w czasie wojny niemal z niebytu i składa się z bardzo różnego elementu ludzkiego. Chodzi mi natomiast o to, że ich większość dotyczyła właśnie „Ajdaru”.

– Ot, obok naszego pododdziału stacjonują fajne rebiata z „Ajdaru”, ale w innym domu, parę kilometrów dalej, też ajdarowcy, jednak ci to kompletne poj... by – mówi oficer z 92. brygady.

Ja mogę powiedzieć jedno – ci ajdarowcy, których widziałem, nie wyglądali mi na zbrodniarzy i maruderów, a ja jako Polak nie wyczułem też z ich strony żadnej niechęci. Natomiast z drugiej strony -może to przypadek, ale ci poznani ukraińscy żołnierze, którzy wzbudzili we mnie instynktowny szacunek i zaufanie, nie byli z batalionów ochotniczych, tylko z jednostek regularnych. To zresztą myląca nazwa, bo tam też jest wielu ochotników.

Ludzie tacy jak poznany jeszcze w Kijowie młody oficer zwiadu, ranny latem na Sawur-Mogile. Jak dowódca 12. batalionu MSW „Kyiwszczina”, płk Jurij Pokinboroda, o którym

podkomendni – sam widziałem – mówią z ogniem w oczach. Jak jeden z jego oficerów Lena Wojtkowa o uroczym uśmiechu (tak, Ukrainki także walczą z bronią w ręku).

Jest 8 marca, późne przedpołudnie. Pie-restriętka powoli cichnie. Po obu stronach frontu rozpoczyna się świętowanie Dnia Kobiet.

Poznaję Lewana, gruzińskiego ochotnika. Już starszy mężczyzna, weteran wojny 2008 r. Stoi na warcie u koszar w Szczastiu ze starym kałasznikowem.

– Trzeba. Przecież jak się Putlera nie zatrzyma, pójdzie dalej. Nie wiadomo, gdzie się zatrzyma – mówi.

Podobne słowa, w różnych wariantach, słyszałem wielokrotnie. Wśród ukraińskich oficerów i żołnierzy powszechne jest przekonanie, że wojna na pełną skalę zacznie się znowu. A wtedy będzie bardzo ciężko i trzeba się liczyć ze stratą kolejnych fragmentów Donbasu. Zdają też sobie sprawę z tego, że walczą na terenie, w którym większość ludności nie jest po ich stronie.

Jednocześnie przekonani są co do sensu wojny. Uważają bowiem, że tu nie chodzi o Donieck, Ługańsk i jeszcze kilka powiatów w tę czy we w tę, lecz o niepodległość Ukrainy. A może i o coś jeszcze większego, bo – pytają retorycznie – gdzie w głowie władcy z Kremla jest linia, której on nie przekroczy? „Gdybyśmy nie zatrzymali Putina wiosną i latem, dzisiaj Donieck byłby już gdzieś pod Kijowem” – tak brzmi zdanie słyszane przeze mnie kilkakrotnie.

I doprawdy trudno je odrzucić jako fałszywe.

(wSieci, 16-22.03.2015)